

GRZEGORZ GÓRSKI (Toruń – Lublin)

Kilka uwag o pewnej recenzji

Publikowane wyżej wystąpienie autorstwa panów Tomasza Kubickiego i Jacka Matuszewskiego jest tekstem pod każdym względem wyjątkowym. Stopień nagrodzonych w nim absurdalnych zarzutów, urojonych pretensji i żalów, występujące niemal w każdym zdaniu zdziwienie, że coś wyglądało inaczej niż dotąd myśleli autorzy, forma wypowiedzi – wszystko w ilości przekraczającej zapewne łącznie zebrane krytyczne uwagi wypowiedziane na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego” w ciągu ponad pięćdziesięciu lat istnienia pisma. Do tego furia widoczna w każdej właściwie sekwencji napisanej przez „recenzentów”.

Wobec takich tekstów atakowany autor właściwie pozostaje bezradny. W gruncie rzeczy nie powinien odpowiadać, no bo jak można poważnie dyskutować z kimś, kto sypiąc jak z rękawa gołosłownymi zarzutami, jednocześnie w żaden sposób nie potrafi zapanować nad swoimi emocjami. Jeśli jednak odpowiadam, to decydują o tym cztery względy.

Po pierwsze, przy okazji ataku na mnie ugodzono w osobę dla mnie szczególnie ważną, prof. Stanisława Salmonowicza. Uważam, że choć prof. Salmonowicz bronić się przed wypowiedzianymi inwektywami nie musi, bo Jego życiowy dorobek zestawiony z dokonaniem recenzentów mówi za siebie, to ja nie mogę pozostać obojętny wobec zaistniałych faktów.

Po drugie, w sposób bezprzykładny zaatakowano najbardziej zasłużonego dla rynku podręczników prawniczych wydawcę – Wydawnictwo Prawnicze. Renomowany Wydawca, o utrwalonej pozycji na rynku, do tego Wydawca, z którym związaliśmy się właśnie z uwagi na powagę w dobieraniu autorów i w traktowaniu swojej misji wydawniczej na każdym etapie procesu wydawniczego, nie może być bezkarnie szargany.

Po trzecie, okazuje się, że recenzentom przychodzi rzucanie inwektyw bardzo łatwo. Na tyle łatwo, iż czynią mi nawet niejaka przysługę. Jeśli w swo-

im tekście piszą o marsz. Piłsudskim *przyszły, choć formalnie nigdy nie oskarżony, zbrodniarz stanu z maja 1926 r.* i dalej stają na głowie, by dać wyraz swoiście pojmowanego „szacunku” dla człowieka, który poniósł największe zasługi dla odbudowy państwa polskiego, to mógłbym powiedzieć, że nie jest tak źle. Być w takim towarzystwie, to przecież zaszczyt.

Nade wszystko jednak, wydaje się konieczne, by odpowiedzieć na ów tekst właśnie dlatego, że mimo pewnych pozorów, jest to przecież tekst pełen zmyśleń, manipulacji, fałszywych zestawień, wreszcie ataków na reprezentowane przeze mnie poglądy na różne kwestie i zasadniczo odmienny system wartości, który reprezentują. Zawsze uważałem, że ludzie nauki mają prawo do wyrażania swoich poglądów i nawet jeśli z odmiennymi poglądami ja osobiście się nie zgadzam, to potrafię je uszanować. Można o tym przecież dyskutować, spierać się, nieraz nawet ostro. Sam niejednokrotnie zabierałem głos w kwestiach drażliwych, nierzadko dyskutowałem z innymi poglądami, ale zawsze była to właśnie dyskusja (albo próba jej podjęcia). To zakłada minimalny szacunek dla drugiej strony, choćby próbę zrozumienia jej poglądów, racji, argumentów. Czytelnicy ocenią, na ile tekst panów Kubickiego i Matuszewskiego odpowiada tym elementarnym standardom naukowej przyzwoitości. Przejdźmy zatem do rzeczy.

W swej polemicznej metodzie autorzy przyjęli jasną zasadę: zebrali pewną ilość szczegółowych zarzutów i wzmocnili je odpowiednią ilością mocnych epitetów po to, by wykazać, że atakowany autor na niczym się nie zna. To ustawienie autora ma służyć wzmocnieniu zarzutów ogólnych, które w istocie stanowią najważniejszą część tekstu. Zacznę zatem od ustosunkowania się do zarzutów szczegółowych, które znalazły się w punktach 7-ym i 8-ym tekstu.

Ze szczególnym zainteresowaniem autorów spotkał się fragment poświęcony Księstwu Warszawskiemu. Co obejmuje katalog „porażających” zarzutów?

1. Autorzy żalą się („czytelnik nie potrafi rozstrzygnąć”), że nie bardzo wiedzą o co chodzi w stwierdzeniu dotyczącym ciągłości prawnej (a właściwie jej braku) pomiędzy Księstwem Warszawskim a Rzeczpospolitą polskolitewską. Zapewniam, że moi studenci na pierwszym roku nie mają żadnego kłopotu ze zrozumieniem tego problemu. Księstwo Warszawskie, z punktu widzenia prawa międzynarodowego, było państwem nowym, tworem powołanym do życia przez czynniki obce i stąd, z tego punktu widzenia nie można go uznać za państwowość polską *sensu stricte*. Nie oznacza to wszakże, że nawet tak powstałe państwo nie mogło – nazwijmy to – nabrać charakteru polskiego, poprzez upodmiotowienie w jego ramach (czyli przejęcie roli rzeczywistego suwerena) przez naród polski. Takie zresztą były intencje i Napoleona, i związanych z nim ówczesnie polskich elit, ale rozwój sytuacji, wynik starcia z Rosją, w oczywisty sposób zniweczyły te nadzieje. Stąd

symboliczne gesty, mające wskazywać na związki z pewnymi postanowieniami Sejmu Wielkiego. Historyk ustroju musi jednak pamiętać o tym, kto i gdzie **nadawał** temu krajowi i jego obywatelom najwyższe prawo, czyli konstytucję.

2. Piszą autorzy, że stwierdzenie iż Księstwo „było monarchią konstytucyjną”, wprowadza w błąd, bo „takiego postanowienia ze zrozumiałych względów w Konstytucji nie da się znaleźć”. To prawda, tak samo jak prawdą jest stwierdzenie, że w konstytucji PRL z 1952 r. nie było stwierdzenia, że jest to państwo totalitarne. I co z tego? Czy to zmienia w czymkolwiek rzeczywistość? Czy to, że formuła ta nie została zapisana *expressis verbis* w konstytucji oznacza, iż Księstwo nie było monarchią konstytucyjną?

3. Wprowadzam czytelnika w błąd, nie informując, że o powołaniu Księstwa przesądziło uzgodnienie Napoleona i Aleksandra w Tylży („Górski nie wie, jak przebiegały rozmowy i jakie znaczenie miały poszczególne porozumienia zawierane w Tylży”). Niestety, zasmucę T. Kubickiego i J. Matuszewskiego. Wiem, o czym w Tylży deliberowano i kto chciał, a kto nie odbudowania polskiej państwowości. Ale w podręczniku pisałem o tym, które z zawieranych tam traktatów skutkowały bezpośrednio w sensie prawnym na utworzenie nowego państwa. Były to te traktaty, które wymieniłem i których konkretne postanowienia nawet zacytowałem. Czy zrozumienie prostego tekstu może nastęrczać aż takie trudności?

4. „Uważny czytelnik” ma też podobno problemy z oceną charakteru Księstwa. Doprawdy? Przecież dla wszystkich, włącznie (a może przede wszystkim) z Aleksandrem I na czele było oczywiste, że Księstwo było tylko tworem pośrednim na drodze do wskrzeszenia państwa polskiego, zniszczonego definitywnie przez zaborców w 1795 r. Czy to przeczy tezie, że ten twór, jako podstawa przyszłej, odbudowanej Polski, był „jednym z podstawowych elementów porządku napoleońskiego na kontynencie”? Czy dzieje kampanii 1812 i 1813 r., miejsce w niej Księstwa i polskiego wysiłku militarnego, dają coś do myślenia autorom zarzutów?

5. Art. 4 konstytucji znosił niewolę, czy ściślej może mówiąc – różnorakie formy podporządkowania ludności chłopskiej szlachcie. Inne postanowienia konstytucji nadawały szerokim rzeszom ludności – w tym chłopom – podstawowe prawa polityczne – w tym czynne prawo wyborcze. Na tle doświadczeń Rzeczypospolitej polsko-litewskiej był to postęp olbrzymi, choć trzeba pamiętać, że i ilość osób posiadających czynne prawo wyborcze w tym państwie końcu XVIII wieku przewyższała wielokrotnie ilość takich samych osób w Anglii – Wielkiej Brytanii po ponad stu latach od Chwalebnej Rewolucji. Dlatego te właśnie postanowienia konstytucji odegrały wielką rolę w przyszłości – było po prostu co pamiętać i do czego nawiązywać. Tak jak choćby właśnie w Anglii, pamięć o dawnych prawach parlamentu była stimulatorem walki z centralizacją władzy królewskiej w XVII w. Kto tu kogo chce wprowadzać w błąd?

6. Autorzy zdają się nie wiedzieć – albo na potrzeby swego tekstu udają, że nie wiedzą – kto w istocie decydował o najważniejszych sprawach Księstwa. Formalnie król saski i książę warszawski, faktycznie cesarz i jego przedstawiciele w księstwie. I to oni uzgadniali z czynnikami polskimi najważniejsze posunięcia polityczne, gospodarcze, społeczne, wojskowe, etc. Dlatego trudno nawet powiedzieć, że stan ten odpowiadał klasycznemu pojęciu unii personalnej. Bo nawet przy takim poziomie wzajemnych relacji, jaki jest charakterystyczny dla stanu unii personalnej, ów stan relacji Saksonii i Księstwa był właśnie zaskakująco znikomy. Choć pamiętać trzeba, że pojęcie unii personalnej oznaczać może powiązania dwóch czy więcej państw poprzez osobę wspólnego władcy, przy istnieniu związków o bardzo różnym stopniu natężenia.

7. Problem przewodnictwa króla w senacie autorzy rozpatrują (jak wiele innych kwestii) ze swoistej perspektywy. Skoro w art. 9 napisano, iż „król prezyduje w senacie, gdy to przyzwoitym osądzi”, to oznacza to iż zasadą główną było powierzenie przez konstytucję przewodnictwa senatu władcy. Skądinąd ciekawe, czy autorzy pamiętają, kto przewodził w senacie do 1791 r. i komu przewodnictwo w senacie powierzała ustawa majowa? Zasada wyrażona w art. 25 nie oznaczała przecież, iż król nie przewodniczył senatowi. Oznacza jedynie, że mógł król wyznaczyć do prezydencji w senacie kogoś z jego członków, gdyby uznał, że jego obecność w obradach jest „nieprzyzwoita”. A że z uwagi na stałą w istocie nieobecność króla w księstwie, funkcja prezydowania nie była praktycznie przezeń wykonywana, to już inna sprawa.

8. Piszą autorzy, że wbrew mojemu twierdzeniu marszałek izby poselskiej był mianowany przez króla. Co zaś mówił art. 39? „W izbie poselskiej prezyduje marszałek wybrany z jej łona, a od króla mianowany”. Czy tak trudno zrozumieć tę procedurę – izba wybiera, a król zatwierdza. Wydawałoby się, że to takie proste, a jednak.

9. Król nie mógł – twierdzą recenzenci – rozwiązać senatu, bo mianował senatorów dożywotnio. A co ma piernik do wiatraka? Art. 32 mówił wyraźnie, że w określonych okolicznościach król mógł „mianować nowych senatorów” – a więc faktycznie powołać nowy skład izby. Co zatem oznaczać miała dożywotność nominacji senatorskich (art. 26)? Tyle tylko, że jeśli nie popadli w konflikt z królem, to mogli pełnić mandat do końca życia.

10. Biskupi w senacie (tu podobno „Górski... nie rozumie, albo celowo nieprawdziwie przedstawia tryb mianowania biskupów”). Nic na to nie poradzę, że panowie Kubicki i Matuszewski w ogóle nie znają prawa kanonicznego i zasad rządzących nominacjami biskupów w kościele rzymskokatolickim przynajmniej od XII wieku (także na ziemiach polskich). Procedura opisana przez autorów „recenzji” jest następująca – król mianował biskupów, ma się rozumieć wszystkich, nie tylko senatorów, a „papież jedynie akcepto-

wał monarszą nominację wiążąc religijne konsekwencje z decyzjami władzy świeckiej” – no, no! Nawet w hitlerowskiej Rzeszy papież miał w tym względzie więcej do powiedzenia, niż według Kubickiego i Matuszewskiego w Księstwie Warszawskim. Pogratiulować wiedzy.

11. Dyskutować o tym, co oznacza podpis królewski pod ustawą i jaki to ma związek z ogłoszeniem ustawy jako obowiązującego prawa rzeczywiście chyba nie ma sensu. Nie sądzę też, by był sens rozwijać wątki dotyczące przebiegu procesu legislacyjnego. Autorzy sami twierdzą, że mają swoje zdanie – ja mam inne.

12. Kpią panowie, że jednym z cenzusów biernego prawa wyborczego była umiejętność mówienia po polsku. Szkoda, że o tym nie wiedzą¹.

13. Kuriozalnie podobno tłumaczą problem kontrasygnaty aktów królewskich i odpowiedzialności władcy. To według „recenzentów” absurd, no bo „przed kim książę miałby odpowiadać, a wobec tego, czego dzięki kontrasygnacie uniknął.” No właśnie, żeby to wiedzieć, to trzeba przynajmniej chcieć pojąć, skąd i dlaczego ta instytucja się zrodziła. Gdyby autorom starczyło chęci na to, by choć trochę wniknąć dla przykładu w losy królów angielskiego – Karola I i francuskiego – Ludwika XVI, to nie mieliby takich trudności ze zrozumieniem tej naprawdę niezbyt skomplikowanej kwestii.

14. „Nie rozumie też funkcji rady ministrów” – to znowu o mnie. Dlaczego – bo w konstytucji nie zapisano *expressis verbis*, że król może przebywać poza księstwem. To znaczy autorzy recenzji nie znaleźli takiego postanowienia. Tyle tylko, że właśnie rozwiązania dotyczące czy wicekróla, czy wskazania prezesa rady ministrów, czy wyznaczenia prezydenta senatu (i wiele innych) właśnie o tym mówiły. Nie potrafię też przedstawić („nic dziwnego”) procesu przekształcenia rady ministrów w rząd. Z przypisu do tego wywodu dowiaduję się, że przyjmuje (rzecz jasna bezzasadnie, co wzmocniono w tym miejscu określeniem mojego opracowania terminem „podręcznik”) „że zwrot *Rząd jest w osobie króla* oznacza przyznanie panującemu władzy wykonawczej. Nie mam już nawet siły, by cytować w całości postanowienia art. 6 konstytucji.

Podsumowują te swoje wątpliwości T. Kubicki i J. Matuszewski następująco: Tyle wątpliwości, które już na pierwszy rzut oka rodzi lektura niewielkiego fragmentu podręcznika – ośmiu zaledwie stron. (...) Czy podobnie przedstawiają się i inne partie dotyczące dziejów ustroju państwowości polskiej? Niestety: TAK!” Przyjrzyjmy się zatem dalej rzetelności moich recenzentów. W punkcie 8 swoich rozważań przedstawiają moje „niekonsekwencje”.

¹ Ten fakt potwierdzają również – bo mnie „recenzenci” na pewno nie uwierzą – A. Korołowicz i W. Witkowski, *Historia ustroju i prawa polskiego (1772–1918)*, Zakamycze 2001, s. 75.

1. Monarchowie sascy podejmowali nieśmiało, albo pozorowane próby modernizacji kraju. Ponieważ swoim krajem rządili wedle modelu francusko-pruskiego, polska szlachta opierała się tym poczynaniom, widząc w nich zakamuflowane próby zamontowania absolutyzmu. Zainteresowania wprowadzeniem zdecydowanych zmian w Rzeczypospolitej i August II, i August III nie przejawiali. Polecam choćby lekturę dzieł W. Konopczyńskiego.

2. Co do kwestii drugiej, mówimy o postanowieniach i ich skutkach.

3. Zasady jednomyślności w funkcjonowaniu izby poselskiej, istniejącej od początku, w praktyce nie przestrzegano, przechodząc do porządku dziennego nawet nad sprzeciwami większej liczby posłów. Kontentowano się, do drugiej połowy XVII wieku, uzyskaniem przytłaczającej większości w głosowaniu. Czy o takich oczywistościach należy w ogóle pisać?

4. Rada Nieustająca ponosiła odpowiedzialność polityczną przed Sejmem *in corpore*, natomiast jej członkowie nie ponosili indywidualnej odpowiedzialności politycznej.

5. Królestwo Polskie w sensie prawnym było państwem odrębnym od Rosji, jednak w sensie politycznym było od niej państwem zależnym. Obie te kwestie przesądzała właśnie konstytucja z 1815 r. Jeśli tak trudno zrozumieć historię, to wystarczy przypomnieć sobie, jakie były relacje pomiędzy Związkiem Sowieckim a PRL.

6. Co do wojsk sowieckich na terenie Rzeczypospolitej, to wynika wyraźnie z tekstu, że podając datę 1945 r. odnoszę się do kwestii związanych ściśle z uwarunkowaniami dotyczącymi demontażu Państwa Podziemnego w tym okresie i związku z tym, wkraczających do Polski centralnej Rosjan.

Podsumujmy więc i ten punkt. Moje rzekome niekonsekwencje czy po prostu zwykła niewiedza i złośliwość recenzentów, połączone z chęcią wykazania za wszelką cenę z góry założonych twierdzeń?

W punkcie 10 znalazł się wybór „przykładów licznych merytorycznych nieporozumień”. Przyjrzyjmy się części z nich.

1. Zaczynamy od roku 1000-nego i problemu koronacji Bolesława I oraz „nieodpowiedzialnych wniosków”. Piszą autorzy recenzji: „Do tej pory – jeżeli potrzebne jest tu wyjaśnienie – obowiązywało źródłowe wyjaśnienie koronacji w 1025 r. bez udziału cesarza. Czy możliwa jest tu jakakolwiek polemika?” Tu widzimy wyraz swoistego podejścia do skomplikowanych skądinąd zagadnień. Po co polemizować, skoro i tak wiadomo. A co wiadomo? No przecież są źródłowe ustalenia. Jakie? Nieważne. Ważne, że są, że ktoś coś już napisał, a Górski rzecz jasna nic nie rozumie i do tego nieodpowiedzialnie wnioskuje. Że owe źródła są niemieckie, że służyły wyłącznie uzasadnieniu *ex post* niemieckich roszczeń zgłaszanych pod adresem Mieszka II i Polski, że wreszcie oczywistość czynności dokonanych przez Ottona III i ich wielkich skutków dla utwierdzenia państwowości polskiej, potwierdzenia jej pozycji w ówczesnej architekturze Europy – to wszystko

rzecz jasna zmyślenia jakiejś „obcej propagandy”. Polecałbym lekturę ostatnich ustaleń dotyczących koronacji Bolesława I i Mieszka II pióra J. Mularczyka², oraz znakomitych tekstów W. Sawickiego³, oddających naturę relacji cesarstwa i poszczególnych państw w owym okresie. Nawet nie będę próbował szerzej informować recenzentów, co w tej kwestii w ostatnich latach działo się w nauce niemieckiej. Dla przykładu, tylko Henrykowi II poświęcono ostatnio przynajmniej pięć wielkich opracowań. Wyływają z nich jakże ważne wnioski dla spraw polskich, w tym poruszonych przeze mnie. Nie mam wątpliwości co do tego, że autorzy recenzji takimi „drobiazgami” głów sobie nie zaprzatają. A warto czasem chociaż próbować weryfikować tego typu dzieła z „obowiązującymi ustaleniami”. Tak przynajmniej ja pojmuję misję człowieka, który zajmuje się działalnością naukową. Właściwie problem ten na tyle wystarczająco ilustruje postawę Kubickiego i Matuszewskiego, że można byłoby skończyć na tym polemikę z kolejnymi „zarzutami”. Przyjrzyjmy się jednak – dla potwierdzenia powyższej konstatacji – kolejnym kwestiom.

2. O kształtowaniu się właśnie owego – nazwanego przeze mnie – terytorium koronnego, roli w tym procesie tronu krakowskiego na tle podobnych procesów w państwie ruskim i czeskim, znakomicie pisze J. Banaszkiwicz⁴. Też nie zaszkodziłoby zapoznać się z tymi dziełami.

3. Co dawał ówczesnie chrzest, jakie były jego skutki. Pisał już o tym dość dawno H. Łowmiański: „Chrzest stanowi tedy niezawodny *terminus ad quem* wprowadzenia ustroju państwowego”⁵. Poprzestańmy na tym.

4. Autorzy uważają, że Statuty Kazimierza Wielkiego jednoznacznie pokazują, iż stan szlachecki był zamknięty w tym czasie. Ja o tym nie pisałem – wskazywałem tylko, że choć już wcześniej były określone w tym zakresie reguły, tworzące pewien utrwalony stan, to jednak ciągle – i tak było przecież jeszcze w XV w. – było wiele możliwości przenikania doń zwłaszcza bogatych mieszczan. Dopiero w końcu XIV w., wskutek m.in. uzyskania tak znacznych zdobyczy od Ludwika, Jadwigi i Władysława, pojawia się już bardzo silna tendencja do maksymalnego utrudniania dostępu do szlachectwa. Ale nigdy, do końca Rzeczypospolitej w 1795 r., nie stał się stan szlachecki całkowicie zamkniętym. W jakim celu w 1578 r. sejm przyjmowałby konstytucję, zastrzegającą wyłącznie dla siebie prawo nobilitacji? Oznacza to, iż do tego czasu król musiał nie rzadko korzystać z prawa nobilitacji, oraz że i później sejm nobilitacji dokonywał.

² J. Mularczyk, *Tradycja koronacji królewskich Bolesława I Chrobrego i Mieszka II*, Wrocław 1998.

³ W. Sawicki, *Studia nad wpływem praw obcych w dawnej Polsce*, Warszawa 1971.

⁴ J. Banaszkiwicz, *Polskie dzieje bajeczne mistrza Wincentego Kadłubka*, Wrocław 1998, ale także i inne dzieła tego znakomitego historyka.

⁵ H. Łowmiański, *Początki Polski. Z dziejów Słowian w I tysiącleciu n.e.*, T. IV, Warszawa 1970, s. 311.

5. Co do sieci parafii w Polsce, polecam rzeczywiście szereg ciekawych lektur przygotowanych przez moich kolegów – historyków Kościoła w Polsce z KUL. Może wtedy panowie będą troszkę mniej pewni swoich arcyprawnych stwierdzeń – moje są rzecz jasna „absurdalne”. Ten fragment zarzutów jest jednak bardzo ciekawy dla zilustrowania podstaw agresywności recenzentów. Panowie Kubicki i Matuszewski wiedzę swoją czerpią tutaj z trzech stron opracowania poświęconego szlachcie sandomierskiej w średniowieczu. Z takimi podstawami nigdy nie zaryzykowałbym zarzucania komukolwiek absurdalności jego twierdzeń.

6. Czyżby autorzy recenzji mieli wątpliwości co do pozycji Mieszka I, Bolesława I, Mieszka II (do czasu kryzysu wewnętrznego), Kazimierza I czy wreszcie Bolesława Śmiałego? I czy nie jest prawdą, że Bolesław Krzywousty (a zapewne i jego ojciec), na wiecach ogólnopaństwowych wydawali w porozumieniu z uczestnikami tych zgromadzeń prawa dotyczące najważniejszych spraw państwowych? A działo się to i później coraz częściej. Polecam lekturę ustaleń R. Grodeckiego⁶.

7. Nie sposób pisać o wszystkim, ale inną ilustracją metody recenzentów, kwestionujących właściwie wszystko, co im przyjdzie do głowy, jest poruszona kwestia indygenatu. Kwestionują moje stwierdzenie, że było to nadanie szlachectwa cudzoziemcowi. „Indygenat (...) polegał na udzieleniu szlachcicowi zagranicznemu szlachectwa polskiego”⁷.

Poprzestańmy na tym. Metoda autorów jest prosta. Wyrwywają z kontekstu pojedyncze wątki, przekręcają ich sens i znaczenie, nadają im odpowiednią interpretację, narzucają swoje rozumienie tekstów regulacji konstytucyjnych czy przepisów ustawowych⁸, by po takich oczywistych manipulacjach konstatować z radością: „To są same ewidentne błędy! Aż się nie chce wierzyć, że mogły się znaleźć w akademickim podręczniku”. Trzeba byłoby napisać drugą książkę, żeby odpiierać wymyślone zarzuty. Dlatego zawartych w punkcie 11 „niejasności i wątpliwości” autorów, wyjaśniać nie będę, tym bardziej, że stanowią nie tyle recenzję, ile zestaw wątpliwości, trapiących ich samych. Szkoda na to czasu i szkoda cierpliwości Czytelnika.

Czas przejść do kwestii bardziej ogólnych i moim zdaniem zasadniczych. Odnoszę się tu do uwag zawartych w punktach 2 (pierwsze wątpliwości), 3 (kłopoty z marksistowską metodologią), 4 (brak naukowej recenzji wydawniczej), 5 (konstrukcja) oraz po części 9 (język).

⁶ R. Grodecki, *Polska Piastowska*, Warszawa 1969.

⁷ J. Bardach, B. Leśnodorski, M. Pietrzak, *Historia państwa i prawa polskiego*, Warszawa 1976, s. 198.

⁸ Np. co do trybu powoływania wojewody. Wniosek o powołanie wojewody formułowała w postaci uchwały Rada Ministrów, przy czym inicjatywę w tym zakresie posiadał Minister Spraw Wewnętrznych, będący odpowiedzialnym za funkcjonowanie administracji rządowej w terenie. Tu autorzy łaskawie stwierdzają: „Czy – w końcu – wymaga komentarza konstatacja”. To klasyczny przykład „metody” Kubickiego i Matuszewskiego.

W istocie jest to problem metody przyjętej przeze mnie. W cytowanej zapowiedzi podręcznika znalazł się zapis, z którym całkowicie się utożsamiam – jest to dzieło wolne od schematyzmu i uogólnień charakterystycznych dla metodologii marksistowskiej. Autorzy szybko zaprzeczają – przynajmniej takie mają przekonanie – temu stwierdzeniu – „bowiem uogólnienia są”. Już na pierwszy rzut oka widać nierzetelność. Moim założeniem było odejście od schematyzmu i ogólników, a nie od uogólnień⁹. Ale widać już choćby w tym ową wskazaną metodę autorów. Dyskutują nie tyle ze mną i moimi poglądami, ile przede wszystkim z własnym o tych poglądach wyobrażeniem.

Jest rzeczą oczywistą, że każdy podręcznik, a już zwłaszcza podręcznik o tak szerokim zakresie, musi posługiwać się uogólnieniem. Uogólnieniem muszą też posługiwać się ci, którzy mają ambicję „porządkowania” dziejów w imię takich czy innych racji czy potrzeb. Ja takowych nie posiadam, chyba że ma to służyć lepszemu zrozumieniu przez studenta skomplikowanych procesów dziejowych. Ale tu starałem się być właśnie wolny od tego, co czynią ci, którzy „porządkują” dzieje w celu stworzenia pewnych wiążących dla wszystkich wizji. Taki był właśnie marksizm, ze swoją ambicją „wyjaśnienia” procesu dziejowego w celu udowodnienia nieuchronności przejścia do socjalizmu, a w końcu i komunizmu. Marksizm przyjął określony schemat i dlatego uogólniał. Tymczasem szczegółowa analiza poszczególnych rozwiązań ustrojowych, zwłaszcza w szerszym kontekście terytorialnym i chronologicznym prowadzi do jednego wniosku – od marksistowskich uogólnień mamy właściwie same wyjątki! Czy to oznacza zupełną nieprzydatność takiej metody badawczej, w której wskazania marksistowskiej metodologii są fundamentem? Nie podejmuję się tego oceniać w kategoriach definitywnych. Można dostrzec i pewne zalety takich prób, zwłaszcza gdy są oderwane od towarzyszącego im do niedawna przymusu posługiwania się wyłącznie taką metodą. Podstawową zaletą takiego podejścia jest to, że upraszczając do granic możliwości zagadnienia ustrojowe, daje – zwłaszcza młodemu czytelnikowi – pewne poczucie prostoty omawianych zjawisk. Problem jednak w tym, że w ten sposób uczymy – już na pierwszym roku – niebezpiecznego schematyzmu i w tym kontekście bardzo złego uogólniania.

Nie będę oczywiście wdawał się w szczegółową polemikę dotyczącą zjawisk w starożytności. Nie ma sensu snuć rozważań o różnych postaciach państwa w różnych okresach historycznych. Autorzy recenzji rozumieją państwo wyłącznie w kategoriach zdefiniowanych przez ideologię marksistowską, ja to widzę inaczej. Ja nie odmawiam im prawa przywiązania do swoich przekonań, dlaczego jednak mam tłumaczyć się przed nimi, że mam w tej mate-

⁹ Jeśli istnieją wątpliwości co do znaczenia spójnika „i”, to odsyłam to podręczników logiki dla początkujących.

rii inne poglądy. Dodam jedynie, że wcale nie aspiruję do tego, żeby udawać, iż rozumiem do końca skomplikowane procesy powstawania państw w starożytności. O ile wiem, reprezentuję stanowisko zdecydowanej większości badaczy profesjonalnie zajmujących się tymi zagadnieniami w odniesieniu do tej epoki. Nie spotkałem jeszcze żadnego, który by bez żadnych wątpliwości opisywał tę problematykę. Tymczasem z recenzji dowiaduję się, że wreszcie znaleźli się badacze, którzy wszystko doskonale wiedzą i rozumieją. To właśnie panowie Kubicki i Matuszewski. Wypada jedynie poczekać na to, że ich znakomite ustalenia ujrzą w nieodległej przyszłości światło dzienne w postaci bardziej ambitnej niż przytyki pod moim adresem. Czekam na to – a zapewniam, że takie rewelacje z zainteresowaniem przyjmą i inni – z wielką niecierpliwością.

Rozumiem, że chociaż jeden z recenzentów¹⁰ marksizm zna dobrze, a przynajmniej wydaje mu się, że zna dobrze. W punkcie 3 pisze zatem dość dużo na temat marksizmu, jego metody i wywodzi w swojej „błyskotliwej” konkluzji, że tak naprawdę marksistą jestem ja. Tyle tylko, że wskazane rozważania dowodzą zupełnie czego innego – jaka jest naprawdę różnica między mną a tymże recenzentem. Znam marksizm – tu go zawiodę – stosunkowo nieźle i dlatego w pozytywne efekty posługiwania się metodami badawczymi charakterystycznymi dla tej ideologii po prostu nie wierzę. Autor zaś, swoimi rozważaniami dowodzi wyraźnie, że tegoż marksizmu zupełnie nie zna, za to bardzo weń wierzy.

Dowodzi tego, przechodząc do krytyki konstrukcji pracy. Wierzy w inne metody konstrukcji podręczników. Jestem przekonany, że to właśnie typowa dla człowieka wierzącego deklaracja. Mój punkt widzenia był inny. Konstrukcja podręcznika przyjęła przede wszystkim podstawę chronologiczną, która z uwagi na konieczność uwzględnienia zjawisk wykraczających poza europejski (śródziemnomorski, północnoatlantycki) krąg cywilizacyjny, przybrała taki charakter. Właściwie jedynym celem takiej prezentacji materiału było właśnie zwrócenie uwagi studentom na to, że pewne zjawiska występowały w takich właśnie okresach czasowych w skali – używając dzisiejszej nomenklatury – globalnej. Nie była zaś moim (czy naszym z prof. S. Salmonowiczem) celem, próba narzucania określonej wizji historii (ze współczesnymi implikacjami), określonych „typów” czy „form” ustrojów państwowych, a tym bardziej wmaiwania, że wszystko jest bardzo proste, nieskomplikowane i zrozumiałe, że wystarczy tylko sięgnąć po dzieła Marksa i Engelsa, a wszystko stanie się jasne. W tym także sensie, osobiście zrezygnowałem z prób narzucania takiej czy innej periodyzacji dziejów ustrojowych Polski, widząc właśnie na szerszym tle

¹⁰ Pana Kubickiego niestety osobiście nie znam, jak również nie znam jego naukowego dorobku, mniemam więc po tym, że jest to człowiek zbyt młody, by tajniki wiedzy zdobywał w latach 50-tych, 60-tych czy nawet 70-tych.

całkowitą jałowość takiego przedsięwzięcia¹¹. Swojemu stanowisku w tej materii dałem szerzej wyraz w tekście opublikowanym ostatnio w „Czasach Nowożytnych”¹². W poprzednim tomie tego periodyku, znalazły się arcyciekawe rozważania dotyczące periodyzacji dziejów ustrojowych Polski autorstwa prof. L. Górnickiego¹³, swoje przemyślenia przedstawił także w tym piśmie prof. W. Uruszczak¹⁴. Jeśli dodać do tego niejednokrotnie formułowane przez prof. S. Salmonowicza uwagi dotyczące tej kwestii, to widać wyraźnie, że problem ten istnieje, tyle tylko, że nie ma niestety szerszej skłonności do dyskusowania go pomiędzy historykami ustroju Polski. To wielka szkoda. Liczyłem na to, że wokół propozycji zawartych w podręczniku, także wobec treści publikowanych w „Czasach Nowożytnych”, rozwinie się jakaś dyskusja. Jeśli nie ma na nią warunków jeszcze dzisiaj, to i tak prędzej niż później do niej dojdzie, bo obowiązujące tu ciągle schematy wyraźnie już dziś odstają od tego, w jaki sposób widzi je nauka europejska czy światowa. Odwołam się jedynie do opisywanej przez prof. Górnickiego atmosfery dyskusji – niejednokrotnie bardzo ostrej, ale jakże kulturalnej w formie – jaką toczyli w przedmiotowej materii najwybitniejsi przed wojną historycy ustroju Polski. Nikt poważny, biorący udział w tych sporach, nie występował rzecz jasna z pozycji podobnych do zaprezentowanych w omawianej recenzji. Dlatego nie mam wątpliwości, że w dyskusji, która z pewnością będzie musiała odbyć się wśród polskich historyków ustroju, nie wezmą udziału panowie Kubicki i Matuszewski. Są ludźmi tak wielkiej wiary w marksizm, że dla nich wskazane problemy to tylko jakaś warta jedynie unicestwienia herezja.

O tej wierze już nie tylko w marksizm, ale także i w dalsze jego „twórcze” rozwinięcia świadczy część recenzji poświęcona „językowi”. Z błyskotliwością równą najwybitniejszemu „językoznawcy” w dziejach, autorzy „rozprawiają” się z moimi stwierdzeniami. Oszczędzę Czytelnikom polemiki z „subtelnościami” tego fragmentu. Powtarzam: trudno dyskutować z autorami posługującymi się takimi metodami, a do tego mającymi elementarne kłopoty ze zrozumieniem tekstu pisanego.

¹¹ Stąd autorzy nie mogą zrozumieć, jakim prawem rozdział poświęcony Rzeczypospolitej polsko-litewskiej, znalazł się w części pt. *Absolutyzm w Europie*. Po prostu dlatego, że w tym okresie – a więc w XVI–XVIII wieku, na kontynencie europejskim dominowała taka forma ustrojowa. A w takim podręczniku nie mogliśmy przecież stworzyć dla Rzeczypospolitej, odrębnej części.

¹² G. Górski, *Wokół problemów periodyzacji historii ustroju Polski. Uwagi dyskusyjne*, Czasy Nowożytne, Toruń 2002, t. XII.

¹³ L. Górnicki, *Zagadnienia periodyzacji historii ustroju Polski*, Czasy Nowożytne, Toruń 2001 t. XI.

¹⁴ W. Uruszczak, *O periodyzacji historii ustroju dawnej Polski*, Czasy Nowożytne, Toruń 2001 t. XII. Zresztą jest to nie pierwsze wystąpienie tego Autora (przypominam choćby wystąpienie podczas zjazdu historyków prawa w Ustroniu w 2000 r.), ale i szereg wcześniejszych wystąpień prof. Uruszczaka, w których bezskutecznie niestety prowokował do szerszej dyskusji nad problematyką periodyzacji dziejów ustrojowych Polski.

Wyciągają wreszcie autorzy kolubrynę przeciwko wydawnictwu o brak recenzenta. Skąd ta niezmacona pewność, że nie było żadnej opinii w sprawie naszego opracowania? To tylko kolejna ilustracja tego, na jakich ruchomych piaskach swoje tezy formułują Kubicki i Matuszewski.

I w końcu kwestia podręcznika do historii administracji. Potrzeba jego wydania w kontekście gwałtownego rozwoju, zwłaszcza w szkołach prywatnych, studiów administracyjnych, nie powinna budzić wątpliwości. Podręcznik ten został opracowany w oparciu o podręcznik do historii ustrojów, co jest zabiegiem zupełnie oczywistym. Tak kiedyś, z uwagi na określone potrzeby dydaktyczne stało się z wydaniem podręcznika prof. K. Koranyiego do historii prawa. Autorom nie podoba się, że mój podręcznik jest inny, niż dwa inne, dostępne na rynku. A w ogóle ich teza jest jeszcze prostsza – po co trzeci, skoro są już dwa. Zasmucę panów Kubickiego i Matuszewskiego. Ostatnio kolejny podręcznik, zresztą bardzo dobry, poświęcony dziejom administracji nowożytnej, opublikowała Prof. Danuta Janicka, a i na tym nie koniec. Bardzo się z tego cieszę, nie tylko dlatego, że jest to podręcznik bardzo fachowy, ale też dlatego, że studenci będą mieli szerszą możliwość studiowania właśnie, że wreszcie dowodzi to, iż w tym obszarze badawczym po prostu coś się dzieje. Ale panom Kubickiemu i Matuszewskiemu wszystko to za dużo – to przecież najlepsza ilustracja podejścia ludzi, kierujących się wiarą w to co znają, do czego się już przyzwyczaili, a wszystko inne to zbyt wiele, by to ogarnąć. Więc lepiej, by tego nie było.

Podkreśliłem też, że podręcznik D. Janickiej omawia dzieje administracji nowożytnej. Podobnie dziejom administracji nowożytnej poświęcone są podręczniki H. Izdebskiego oraz D. i J. Malców. Rzeczywiście, w odniesieniu do tych podręczników sformułowałem pewną tezę krytyczną, że mianowicie tworzą wrażenie, iż pojęcie administracji publicznej pojawia się dopiero XVII–XVIII wieku (tak wynika ze wstępów napisanych przez Autorów tych dwóch podręczników oraz z ich tytułów). W moim pojęciu, a warto byłoby, gdyby Kubicki i Matuszewski – zanim formułują pewne mocne i pełne epitety oceny – choćby zerknęli na współczesne opracowania dotyczące dziejów administracji, te dzieje obejmują nie tylko wąski obszar europejski, ale również o wiele szerszy zakres chronologiczny. A bajki o „prywatyzacji administracji w okresie feudalnym” być może poprawiają samopoczucie autorom recenzji, ale nijak się mają do rzeczywistości historycznej. Polecam świetne opracowanie H.J. Bermana¹⁵, którego obserwacje być może skłoniłyby autorów recenzji do zastanowienia się nad tym, w co wierzą.

Tyle uwag do uwag. Teraz kilka konstatacji. Pisanie podręczników – dziś wiem to doskonale – jest chyba zadaniem najtrudniejszym. Nie dlatego, że

¹⁵ H.J. Berman, *Prawo i rewolucja. Kształtowanie się zachodniej tradycji prawnej*, Warszawa 1995.

łatwo – jak słusznie zauważa S. Salmonowicz – być zaatakowanym za takie czy inne twierdzenia. Także nie dlatego, że zwłaszcza przy podręcznikach tak obszernych, łatwo popełnić pewne, nie zamierzone błędy¹⁶. Problem tkwi przede wszystkim w tym, że trzeba wybrać między dwoma w istocie możliwościami. Można mianowicie wybrać wariant prostszy, to znaczy próbować poddać niewielkiej modyfikacji dotychczas wydawane podręczniki, nadać im pewien rys osobisty. Można również próbować iść drogą trudniejszą, pokusić się o nowe, czasem i prowokujące spojrzenia, nie spotykane w dotąd wydawanych opracowaniach. Pierwsza droga jest łatwiejsza, ale mniej ambitna. Druga odwrotnie. Zdecydowałem się iść drugą drogą. Przygotowując część niepolską, dotarłem do olbrzymiej ilości opracowań publikowanych w językach angielskim, niemieckim, francuskim i rosyjskim. Dzięki moim przyjaciołom otrzymałem niezbędne dla mnie informacje z Włoch, Hiszpanii, Węgier, Bułgarii, Serbii, Chorwacji, Japonii, Chile czy Meksyku. Referowałem im swoje poglądy – niektóre, pod wpływem ich uwag, korygowałem. Niektóre z moich poglądów, pod wpływem sugestii dotyczących zjawisk w szerszym wymiarze, oni przyjmowali jako interesujące. Przygotowując część polską, sięgnąłem – tego nie ukrywam – w pierwszym rzędzie do opracowań polskich uczonych tworzących w okresie międzywojennym. Te konfrontowałem z opracowaniami powojennymi. W większości przypadków kontrowersyjnych – choć nie we wszystkich – bardziej przekonujące były dla mnie argumenty badaczy piszących w okresie międzywojennym. Wiem, że deklarując to, narażam się wielu osobom, ale muszę być tu szczery. Dokonywałem bowiem takiego wyboru nie z racji braku szacunku dla badaczy powojennych, ale po prostu z mojego osobistego przeświadczenia, iż argumenty używane wcześniej były bardziej przekonujące. Przede wszystkim dlatego, że w wielu kwestiach wątpliwych autorom tworzącym przed wojną dostępne były w wersji oryginalnej źródła nieznane już niestety po wojnie¹⁷.

Ponieważ, jak wykazałem wyżej, moi adwersarze to nie ludzie nauki, ale ludzie wiary, dzieli nas przestrzeń nieprzekraczalna. Ja w tej dziedzinie, którą się zajmuję, nic na wiarę nie przyjmuję i staram się być po prostu krytycznym badaczem, mającym do tego odwagę, by swoje poglądy ogłosić, a gdy trzeba – ich bronić. Nie wykluczam też tego, że jeśli ktoś mnie do czegoś przekona, to mogę zmienić swoje zdanie. Moi recenzenci mają tylko niewzruszoną wiarę w to, co raz przeczytali, co w całej swojej prostocie serca przyjęli i nie obrażają sobie, że ktoś inny może mieć po prostu inny pogląd.

¹⁶ Np. rację mają Kubicki i Matuszewski, gdy piszą, że na s. 183 jest błąd korektorski co do daty przejścia zwierzchnictwa nad państwem Wiślan przez Królestwo czeskie, gdy wskutek korekty językowej, popełniony został błąd w przedstawieniu istoty municypalności (s. 523) czy gdy zauważają, że omyłkowo w tytule rozdziału poświęconego Konstytucji 3 Maja, wzmiankuje się też Księstwo Warszawskie i Królestwo Polskie.

¹⁷ Mam nadzieję, że ten „drobiazg” nie umknął uwadze panów recenzentów.

Dzieli nas także nieprzekraczalna przepaść w metodzie dyskusji naukowej. Myślę że każdy kto przeczyta oba teksty, doskonale wie o czym mowa. Z taką „płomiennością” i z takim przekonaniem o swoich wierzeniach ostatnio pisywano na początku lat pięćdziesiątych. Czy komuś przypadkiem nie przypomniały się młode lata?

Nawet nie chcę zatem dociekać, jakie były motywy tego bezprzykładnego ataku. Jedno jest pewne – mimo pozorów powagi, recenzja panów T. Kubickiego i J. Matuszewskiego jest niewiele merytorycznie wartym atakiem personalnym i kompletnie nieudaną próbą zakwestionowania powagi Wydawnictwa Prawniczego. Dla nauki polskiej, dla dyskusji nad dziejami ustroju Polski, nie mówiąc już o dziejach powszechnych w tym obszarze, z tekstu tej elukubracji nic nie wynika.